



PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie

Kwartalnie. . . . . rs. 1.  
Za odoszenie do domu kwartalnie kop. 10.

Na prowincyi

Kwartalnie. . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 5 (17) Października 1891 r.

PRENUMERATA WYNOŚI:

We Lwowie i Krakowie

Kwartalnie zhr. 2. Na prowincyi zhr. 2 cent. 30.

W Poznaniu

Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Folwark do sprzedania, obrazek przez Klemensa Junoszę (dalszy ciąg). — Wychowanie. — Gra... w karty wizytowe. — Z dziedziny nauki i wynalazków, — Uzdrawienie, przez Florencyą Maryat, przekład z angielskiego M. G.. — Z chwili bieżącej. — Rozwiązanie Logogryfu. — Ogłoszenia. W dodatku: Silniejsza niż nienawiść, powieść przez Leona de Tinsseau, przekład Bronisławy Kowalskiej (arkusz 12).

FOLWARK DO SPRZEDANIA.

OBRAZEK

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZE.

(Dalszy ciąg.)

— Jakże u licha?! folwark bez inwentarza?

— Różnie bywa, wielmożny panie, z inwentarem, bez inwentarza, z budynkami, bez budynków, czasem z dziedzicem, a czasem bez dziedzica. Z tego Marysina dziedzic wylatuje dość często, za mojej pamięci było trzech, a Nuchym pamięta z dziesięciu. To jest ładny folwark, kupi go kto, posiedzi parę lat, czasem krócej, i już go niema, i znów się znajdzie jaki głupi, co chce zagrzebać w piasku dobre pieniądze.

Pan Michał obraził się.

— No, no — rzekł, — głupi albo nie głupi, taki bachor jak ty o ludziach dorosłych odzywać się w ten sposób nie ma prawa. Kto ma pieniądze, może nimi rządzić wedle upodobania własnego.

Żydziak zmiarkował z tych słów, że właśnie nowego dziedzica wiezie.

— Ja nie wiem za co się wielmożny pan gniewa — rzekł.

— Bo za dużo gadasz. Sam jesteś głupi.

— Ja takie słowo nie powiedziałem, a jeżeli nawet powiedział, to wcale nie myślałem tego, co pan dobrodziej myśli, że ja myślałem. Ja mówiłem że byli tacy głupi, co zagrzebali w piasku pieniądze, a chciałem powiedzieć, że przyjdzie tu taki dziedzic, co te zagrzebane pieniądze wygrzebie i duży majątek zrobi. Ja tak miarkuję, że on przyjdzie, może nawet niedługo przyjdzie.

— To bardzo być może.

— Niech on przyjdzie, ja mu życzę, a mój wujaszek Nuchym powiada zawsze, że lepiej to znaleźć co bogaty pan zgubi, aniżeli to co kapcan może zgubić. Nuchym zawsze prosi Boga o zdrowie i o porządnego, bogatego dziedzica. No — rzekł, pokazując biczyskiem, — niech pan dobrodziej uważa te zabudowania na lewo od drogi, to jest właśnie Marysin!

Pan Michał wytężył wzrok i kazał Żydziakowi pośpieszać; po dziesięciu minutach jazdy wózek wtoczył się na dziedziniec Marysina.

Było w tym folwarku dziwnie jakoś głucho i pusto, na spotkanie nowego dziedzica nikt nie wyszedł, tylko pies z budy wyskoczył i zaczął ujadać zaciekle.

Pan Michał wysiąść z bryczki nie mógł, bo gdy tylko nogę na stopniu postawił, wnet pies z wyszczerzonymi zębami przyskakiwał i wcale niedwuznacznie zamiary nieprzychylne objawiał. Napróżno Żydziak biczem wymachiwał, to jeszcze bardziej rozdrażniało kundla.

Położenie było przykre i nowy dziedzic niecierpliwić się zaczął.

— Zejdź-no ty z bryczki — rzekł do Żydziaka — i odpędź tego przekłętogo psa.

— Ja się boję, panie — odpowiedział, — ja jego znam; to jest bardzo zły pies, on kasa.

— Więc cóż zrobimy?

— Albo ja wiem, podjedziemy pod czworak, może tam Walenty jest.

Pokazało się że rada była praktyczna; na kilkakrotne wołanie wyszedł z czworaka chłop w czerwonym spencerku, zaspany, i zaczął psa odpedzać.

— Proszę cię, mój człowieku — rzekł pan Michał, — weź tego psa na łańcuch.

— A niby... — odparł, przecierając zaspane oczy... — a niby, co mnie za potrzeba psa wiązać? Stróżów tu niema, parobków niema, folwark pusty, a tałałajstwo różne się włóczy... Weź psa na łańcuch! a juści... ja od psów nie jestem. Powiedzieć poco się przyjechało i jechać... zaś pies będzie tu chodził, jak chodzi...

Już pan Michał wytrzymać nie mógł.

— A cóż ty sobie myślisz? — zawołał, — coś za jeden? Jakto, ja kupiłem folwark, przyjeżdżam do swojej własności, a tu mnie na samym wstępie impertynencya spotyka! Natychmiast sprowadzę wójta, władzę i zapytam się co ty tu robisz i co za jeden jesteś... na cztery wiatry wypędzę!

Usłyszawszy taką groźbę, chłop czapkę zdjął i usprawiedliwiać się zaczął.

— Właśnie, wielmożny panie — tłumaczył się, — ja tu, głodu przymierając, pańskiego dobra pilnuję. Służba poucikała het, jeden tylko maleńki chłopczyna przy bydle został... i ja zostałem, bo mi dobra ludzkiego zmarnowania żal i że mam w polu kartoflisków sto pretów, com sobie z pozwolenstwa dawnego dziedzica przysadził. Kobieta moja z dzie-



ćmi do kościoła poszła, a ja zdrzemnąłem się krzywkę, dlatego że przez całą noc z tym oto psiskiem folwarku od złodziejów pilnowałem... Wiem że licytacja była i że nowy dziedzic nastał, ale po osobie wielmożnego dziedzica nie znałem i przepraszam pokornie... pieska zaraz uwiążę, nie na łańcuchu, bo tu, Panie odpuść, nietylko pies, ale i koń łańcucha nigdy nie widział, ale na sznureczku... Niech wielmożny pan obejrzy swoją fortunę. Zajedź przed dwór... ja wnet klucze przyniosę. Żeby był wiedział, że wielmożny dziedzic dziś przyjedzie... byłbym chociaż okna pootwierał i co nieco pokoje kazał zamieść.

Udobruchał się trochę pan Michał i, wolny już od psiej napaści, z bryczki wysiadł... niebawem i Walenty z kluczami nadbiegł.

— Mam odjechać — zapytał Żydziak, — czy też wielmożnego pana do kolei odwieżę?

— Wrócę swemi końmi — odrzekł właściciel Marysina, — wszak są konie, Walenty!

— Dyc są, wielmożny panie, jeden łajdak, drugi gałgan, ale w kupie zawdy para, i bryczyna też jest, choć podobniej w niej gęsi Żydom wozić, aniżeli panów.

— Nic nie szkodzi... pojedę takim ekwipażem, jaki jest.

Żydziak odjechał, pan Michał do dworku wszedł. Rezydencya ta składała się z czterech niedużych pokoi, spiżarni i kuchni; ściany miała odrapane, podłogi krzywe, ani jedno okno nie trzymało się jak należy. Całą pociechą była weranda, duża, zacieniona, dzikiem winem obrośnięta. Ogród był stosunkowo dość duży i ładny, drzew owocowych miał sporo. Wśród trawy czerwieniło się kilka truskawek. Pan Michał zerwał je i starannie w papier owinął, aby zawieźć do Warszawy żonie i córce. Niechże skosztują, wszak to zbiór z własnej ziemi i zarazem pierwszy dochód z majątku.

Budynki folwarczne nie rozradowały serca nowego dziedzica.

— Podpierałem kołkami — mówił Walenty, — łątałem dachy, ale sam wielmożny pan widzi, że je trzeba z gruntu przebudować. Jak przyjdzie silny wiatr, nie dostoją i zwałą się na amen. Podwaliny nowe dać wypadnie, słupy też... a ściany z tych samych bali być mogą.

— Obaczmy grunta — rzekł pan Michał, — to najważniejsze.

Poszli w pole. Walenty granice pokazywał i objaśniał.

— Pszenicy u nas, wielmożny panie, mało się sieje, tylko co na swoją potrzebę, jednego roku za ogrodem, drugiego za stodołą, gdzie ziemia krzywkę podobniejsza. Żyto ujdzie, owies, jęczmień bardzo obrzednie... bo nasz dawniejszy dziedzic śnać już miarkował że zbierać nie będzie, więc siał, Panie odpuść, aby aby. Kartoflisków trochę jest, ale po prawdzie zasadzone tylko pół tego, co się coroku sadi, a o tam mamy jeszcze gryki odrobinę... ta piękna... kaszy nie kupimy.

Poszli granicami, potem przez miedze, przez cudze grunta na łąkę, która się nad małą rzeczułką rozciągała.

— Tu jest bardzo ładnie — rzekł pan Michał...

— A juści, jeno daleko od domu, przez to i upilnować trudno. Siano piękne, a zbiór mały.

— Dlaczego?

— Wypasą, wielmożny panie, z Kobylina chłopcy okrutnie na to są chytre. Bywało, dawny dziedzic po sądach ich wodził, prawował się z nimi, ale co

z tego? Jeden karę zapłaci, a dziesięciu pasie, nie ma na nich sposobu, wielmożny panie.

Obejrzenie pól, łąki i obejście granic trwało ze dwie godziny; nowy dziedzic, powróciwszy do domu, był zmęczony i głodny.

— Co to jest jednak powietrze wiejskie — rzekł, — wilkabyłm zjadł teraz. Słuchaj-no, Walenty!

— Słucham, wielmożny panie.

— Strasznie mi się jeść chce.

— A to chwalić Boga, skoro się człowiekowi chce jeść to znaczy, że zdrow jest i mocny! Wielmożny pan wieczorowym pociągiem do Warszawy przyjedzie, to sobie wielmożny pan podje sprawiedliwie.

— Co ty mówisz, człowieku, teraz południe, ja do wieczora nie wytrzymam!

— Tu, wielmożny panie, według pożywienia marnie. Spiżarnia pusta, nawet i półeczki porozbierane... chyba, jeżeli moja kobieta z kościoła przyszła, to dla wielmożnego pana trochę mleka udoi.

— Mlekał czego?

— Dyc mleka, od krowy.

— Ależ, człowieku, jabym się teraz wódki napił, połędwicy porcyą zjadł, o! niedziela dziś, flaki są.

— Chyba w Warszawie; sam, bywało, na Starem Mieście kilka razy jadłem, o dobre! co dobre, to dobre; jeno że za dziesiątkę chytra baba nie dużo onych daje!

— Słuchaj-no, Walenty — rzekł bardzo łagodnie pan Michał, — chyba nie chciałbyś mnie przy pierwszej mojej bytności na wsi, przy obejrzeniu majątku, głodem zamorzyć... postaraj się o co do jedzenia, przecież niepodobna żebyś w domu nic nie miał, przecież tu nie Arabia deserta.

— Czy Arabija to ja nie wiem, ale prepinacyi od dawności tu niema... Niech wielmożny pan krzywkę posiedzi, poczeka, ja obaczę czy moja baba powróciła z kościoła. Jeżeli ona co nie poradzi, to już nikt nie poradzi.

Pan Michał usiadł przy stole na werandzie i papierosa zapalił. Nie obchodziły go w tej chwili ani pola marysińskie, ani walące się budowle, ani dom, którego odnowienie dużo kosztować będzie. Chciał jeść... przedewszystkiem jeść, gotówby był dać co by kto chciał za kawałek mięsa i chleba. „Jeżeli wszyscy ludzie na wsi mieszkający mają taki apetyt — myślał sobie, — to nic dziwnego, że majątków nie robią.”

Z niecierpliwością spoglądał w stronę czworaka, czekając, rychło się Walenty ukaże. Po chwili, która się głodnemu niezmiernie długą wydała, wybiegła z czworaka baba chuda, wysoka, ubrana poświętecznemu, w czerwonej chustce na głowie.

Przybiegła zadyszana do ganeczku i do kolan się panu Michałowi skłoniła.

— A dyc niech wielmożny pan dziedzic wybaczy — rzekła, — chłop zawdy chłop, obrotu żadnego nie ma, głodemby wielmożnego dziedzica umorzył. Zaraz będzie wszystko. Panie miłosierny, toć jabym dla wielmożnego dziedzica kurę na mleku zgotowała, jajecznicą nadziała i słoniną okrasiała... a ten oto chłopisko jeno po głowie się skrobie i tylo...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## WYCHOWANIE.

### Słówko o Freblu i jego ogródkach dla dzieci.

Rozgłos, jaki w ostatnich czasach pozyskały tak zwane „szkółki freblowskie” w kraju i za granicą, zainteresowanie się nimi szerszego ogółu, dowodzi że dość zwykle lekceważone u nas sprawy wychowania przedszkolnego zaczynają zajmować należne sobie miejsce.

Matki i wychowawczynie, w których rękę spoczywają losy fizycznego, umysłowego i moralnego rozwoju dziecka, od lat trzech począwszy, do siedmiu albo ośmiu, jeśli nie powierzają dzieci swych niankom lub zagranicznym bonom, upadają ze znużenia — tak wiele sił, energii i cierpliwości potrzeba w kierowaniu trojgiem lub czworgiem malców. Są oni bowiem niewyczerpani w swych zapytaniach, prośbach, śmiechu i płaczu, w swych ciągłych podskokach, bieganiu, w swarach pomiędzy sobą, gdyż zgoda wśród dzieci w tym wieku należy do wyjątków. Zadovolnić i ująć w karby posłuszeństwa tę ruchliwą rzeszę, bez wysiłków i umęczenia ze strony wychowawczynie, jest rzeczą nader trudną. Chociaż się to uda, to po godzinie czasu dzieci zaczynają wyłamywać się z narzuconej sobie woli i podawnemu broić. Zabawki najrozmaitsze, malowanki, kozy przebrane za doboszów, niedźwiedzie za myśliwych — nic nie zajmuje ich więcej — wszystko odrzuciły i znowu płacz, znowu niewykonane żądania, a ztąd kłopot dla wychowawczynie.

— Cóż to za szczęście będzie — powtarzamy sobie w duchu, — gdy nakoniec podrosną i do szkoły można je będzie posyłać! Przynajmniej przez kilka godzin dziennie zapanuje w domu spokój i cisza.

Tak, ale nim to nastąpi, jeszcze trzy lub cztery lata udręczenia znosić potrzeba.

Zapewne byłoby tak, gdyby nie szkółki, albo ogródki freblowskie. Tam uczęszczać może dziecko, od lat trzech począwszy.

Nad szkółkami temi i nad ujęciem w pewien system wychowawczy dziecka w wieku przedszkolnym, w pierwszej połowie naszego stulecia, pracował gorliwie i niezmordowanie, do ostatniej chwili życia, niemiecki pedagog, Frebel.

I jeżeli o Pestalozzym, tak jak o naszym Jachowiczu, można powiedzieć, że nieśmiertelną sławę zapewniła im wysoka ich miłość do świata dziecinnego i pragnienie uszlachetnienia ludzkości zapomocą wychowania, to taka sama zasługa i sława należą się również Freblowi.

Działalność literacka tego pedagoga pozostaje w cieniu wobec działalności jego, pełnej entuzjazyzmu, na polu pedagogicznym, jako twórcy „ogródków dziecinnych.” Podczas gdy o pismach Frebla wie szczupła zaledwie garstka pedagogów, o „ogródkach” jego wiedzą dziś już wszyscy na obu półkulach świata.

Frebel przyszedł na świat w Turynii, w roku 1782. Pierwsze chwile jego życia pozbawione były opieki macierzyńskiej, gdyż matkę utracił bardzo wcześnie. Dziecię wychowywane było przez ojca i wuja. Matki nikt nie zastąpił nam w życiu, zwłaszcza w wieku młodocianym. Brak ten zaznaczył się i w wychowaniu Frebla. Marzycielstwo i tęsknota towarzyszyły mu w młodości. Wśród pól i lasów otaczających rodzinną wioskę błądził z upo-



dobaniem, przywiązując się do natury i odczuwając jej prawa.

Głębokie uczucie religijne ożywiało jego serce, potęgując się z każdą chwilą. Wśród tej atmosfery cichej, spokojnej, pozbawionej wrażeń silniejszych, Frebel wzrastał na młodzieńca sentymentalnego, miłującego naturę i niemającego określonych dążeń i zamiarów.

Pomimo to, umysł jego okazywał się nad wiek rozwiniętym. Młodzieńcem już Frebel gorliwie studiował prawo, mineralogię, rolnictwo i nauki matematyczne. Naturalnie że myśl poświęcenia się zawodowi pedagogicznemu daleką jeszcze wówczas była od niego. Stało się to o wiele później, bo w roku 1805, gdy jako młodzieniec 23-letni przybył do Frankfurtu. Tu otrzymał miejsce nauczyciela w szkole pedagoga Grunera, chociaż pierwotnie nie leżało to w sferze jego zamiarów, przybył bowiem w celu otrzymania miejsca u pewnego architekta.

Oto co sam pisze o tem do brata swego Krzysztofa:

„Nieprzewidziana okoliczność zmieniła moje postanowienie; otrzymałem wiadomość, że wszystkie moje świadectwa (które miał przedstawić architektowi) zginęły w drodze. Sądzę że Opatrzność sama chciała przez ten wypadek odjąć mi możliwość odwrotu.”

W ten sposób Frebel został nauczycielem. Wiadąc że nowy zawód przypadł mu do gustu, gdyż w kilka dni po objęciu obowiązków w szkole pisze znowu:

„Nie uwierzysz, jak mi się moje zajęcia podobają. Po pierwszych lekcjach zaraz zdawało mi się, że nic innego w życiu nie robiłem, że urodziłem się tylko na to, ażeby zostać nauczycielem. Nie mogę sobie wyobrazić, że pragnęłbym niegdyś obrać sobie inny zawód, a przecież nigdy nie przychodziło mi na myśl, że będę nauczycielem.”

W trzy lata później, bo w roku 1808, Frebel, ani na chwilę nie ustając w działalności pedagogicznej, powziął zamiar widzenia się z mistrzem swoim Pestalozzym. W Frankfurcie bowiem pilnie studiował jego metodę nauczania i trzymał się wiernie wskazówek w niej zawartych. Sławny Pestalozzi przebywał wówczas w Yverdun, nad brzegami jeziora Neufchatels, ściągając do zakładu swego tłumy ciekawych. Frebel przez dwa lata wraz z trzema swoimi uczniami przebywał pod kierunkiem wielkiego pedagoga, obznajmiając się z jego sposobami nauczania. Była to ważna epoka w życiu jego. Tu miał przed oczyma wzory prawdziwej znajomości duszy dziecka i odpowiedniego kształcenia wszystkich jej sił wrodzonych, tutaj też powziął myśl wystąpienia na polu piśmiennictwa pedagogicznego. Pierwsza praca literacka Frebla nie miała powodzenia wśród czytającego ogółu, co złaźniało jego zapał i wiarę we własne siły. W roku 1812 zaciągnął się jako ochotnik do wojska i brał udział w wojnie francuzko-niemieckiej. Po skończeniu kampanii przybył do Berlina i, zniechęcony, napróżno usiłował wynaleść sobie jakieś zajęcie.

„Nadaremnie szukam czegoś — pisze o sobie, — co mogłoby mnie zadowolnić. Pewnego razu wszedłem do pięknego ogrodu, pełnego najrozmaitszych kwiatów, lecz żaden z nich nie uspokajał moich wewnętrznych pragnień. Przechodząc koło nich i rzucając w swoją duszę spojrzenie, spostrzegłem, że nie ma pomiędzy temi kwiatami lilij... Wiedziałem teraz, czego brakuje temu ogrodu i czego ja szukam. Czyż mogły się moje uczucia objawić w formie piękniejszej? Szukasz — powiedziałem sobie — pokoju i ukojenia serca, harmonii życia i czystości du-

szy w wyobrażeniu lilii, tego kwiatu skromności i prostoty. Ogród ze wszystkimi swymi najrozmaitszymi kwiatami, ale bez kwiatu lilii, był dla mnie tem, czem życie czynne i różnorodne, lecz pozbawione harmonii i jedności.”

To wahanie się wewnętrzne, to szukanie wewnątrz siebie zadowolenia i harmonii ze światem zewnętrznym trwało niedługo, gdyż już w roku 1814 Frebel znowu z całą gorliwością oddał się zawodowi pedagogicznemu. Otrzymał miejsce asystenta przy Muzeum mineralogicznym, studiował formy geometryczne i kryształy i tu powziął zapewne myśl pierwszych podarków dla dzieci, które poprzedziły tak zwane „ogródki.” Odtąd już Frebel coraz to silniej przywiązywał się do spraw wychowania i postanowił cełe swe życie im poświęcić.

W roku 1816 otwiera w Keilhau zakład naukowy, który wkrótce nabiera rozgłosu. Pomimo że plan nauk i metoda ich wykładu prowadzone tam były według myśli Pestalozzego, jednakże wiele nowych zasad Frebla przyjętych zostało i utrwaliło się. Pedagogzy Langethal i Mieldendorf godzili się na nie i uważali je za korzystne dla młodzieży. Przedewszystkiem więc wychowanie fizyczne, indywidualne i moralne miano w Keilhau na względzie. Harmonijny rozwój wszystkich sił wychowawca, tak duchowych jak fizycznych, zgodny z jego indywidualnością, był marzeniem Frebla, które pragnął jak najprędzej oblec w szaty rzeczywistości.

Należy też zaznaczyć głęboką religijność, z jaką Frebel przystępował zwykle do spraw wychowania.

„Wychowanie — pisze on w swych „Aforyzmach,” — nieoparte na religii chrześcijańskiej, jest wadliwe i niezupełne.” Nawet idzie dalej i wręcz powiada, że „całe wychowanie bez podstaw religijnych jest płonne.”

Wysoka miłość dzieci, którą Frebel zachował do końca swego życia, otaczanie ich serdeczną opieką, zwracanie się do nich, jak do istot najbliższych i najdroższych, pozostanie zapewne największą zaletą jego działalności i wzorem dla wszystkich, którzy na światek dziecinny swój wpływ wywierać pragną. Widział on w dzieciach, jak sam się wyraża: „żywą obecność, dobroć i miłość Bożą.”

Frebel był mniej szczęśliwym administratorem niż wychowawcą, skutkiem czego zakład w Keilhau nie mógł się utrzymać długo. Już w roku 1827 na żądanie księcia meiningeńskiego Frebel kreśli nowy plan zakładu wychowawczego i otwiera go w ofiarowanym sobie przez księcia zamku.

Tu do planu nauk wprowadzone zostały praktyczne zajęcia, jako to stolarstwo, uprawa ziemi, klejenie i t. d. Prócz tego opracował Frebel projekt szkoły ludowej, do której mogłyby być przyjmowane dzieci w wieku od lat 3 do 6. Pozostawiwszy kierunek nowo utworzonych zakładów swoim przyjacielom, udaje się do Burgdorf, miasteczka w którym przed 35-ciu laty nauczał Pestalozzi, i obejmuje dyrektorstwo nad ochronką dla sierot i zakładem wychowawczym, według swych zasad urzędowym. Tutaj postanowił oddać się całkowicie wychowaniu przedszkolnemu, tutaj też nakreślił w umyśle plan zajęć i metodę nauczania, odpowiednią dla dzieci znajdujących się w wieku przedszkolnym.

Przyszłe dary i ogródki dziecinne z krainy myśli miały przejść w krainę rzeczywistości.

(Dokończenie nastąpi.)

## Gra... w karty wizytowe.

Nietylko dzikie ludy, lecz i cywilizowane społeczeństwa mają zwyczaje, które mieszkańcom Nowej Zelandyi lub Patagonii wydałyby się równie śmieszne, jak nam ich tańce, ofiary i powitalne lub pożegnalne ceremonie.

Do takiej chińszczyzny czy japońszczyzny, obowiązuje szanujących się Europejczyków, należy zwyczaj gry w karty wizytowe, gry śmiesznej, a tak zawiłej i subtelnej, iż jeden krok fałszywy zdradzi tu odrazu, do jakiej sfery towarzyskiej dana osoba ma prawo należeć.

Ze względu też na delikatne odcienie w zwyczajach tych, których nie może nauczyć żaden podręcznik „dobrego tonu,” pismo angielskie „The Woman” daje czytelnikom swym, z racji obecnego powrotu ich do miasta, szereg rad i wskazówek, w celu umiejętnego używania tej małej kartki brystolu, która staje się pierwszym pasportem na arenie salonów.

Powaga, z jaką tygodnik, poświęcony córom Albionu, traktuje subtelności towarzyskie przy zamianach lub pozostawianiu biletów wizytowych, jest wysoce komiczną. Z drugiej jednak strony cechuje ona tak dobrze ceremonialną sztywność Anglików, iż dla samego porównania z dawną, zatraconą dzisiaj, prostotą naszych obyczajów, nie wahamy się powtórzyć tutaj kilku punktów z tego światowego kodeksu.

Najpierw więc dowiadujemy się, iż karta średniej wielkości, *gładka, bez żadnych ozdób*, może być tylko litografowana. Drukowanie nazwiska pozostawia się jedynie „tym panom,” którzy przychodzą z rachunkiem za gaz, za wynajmowanie karety, za wybrane towary i t. d. Monogramy, kolorowe rogi, złocenia i t. d. są już oddawna wyłączną własnością głębokiej parafii, która chce zaimponować elegancją taką pani organiscinie lub aptekarzowej z poblizkiego miasteczka.

Co do kobiet wyższych sfer towarzyskich, tych obowiązkiem jest:

Pozostawić karty swe, po powrocie do miasta, wszystkim znajomym, w celu uprzedzenia ich osmem przybyciu. Można skutecznie to bądź osobiście, bądź przesyłając bilet wizytowy przez służącego, przyczem pierwszy sposób jest o wiele grzeczniejszy. Jeżeli dama sama kartę swą pozostawia, powinna uczynić to między godziną 3 a 6 po południu.

Służący może, przeciwnie, odnieść bilet zrana, a nawet wrzucić go do skrzynki listowej. Pocztą jednak nie wolno przysyłać kart pod żadnym pozorem. Jest to niezłomna zasada przyzwoitości w stosunkach towarzyskich.

Drukowanie nazwiska żony i męża na tym samym bilecie stanowi jedyną oszczędność, uważaną w oszczędnej Anglii za dowód złego smaku. Rzecz to przestarzała i gminna. Żona powinna posiadać karty osobne, przyczem jednak obowiązana jest mieć zawsze karty męża przy sobie i te, wraz ze swojemi, u znajomych zostawiać.

Po uwagach o grubości i formie brystolu, następuje przestroga, iż tytuły rodowe, a nawet honorowe, do osoby przywiązane, umieszcza się przy nazwisku w całej pełni. W Anglii wszakże istnieje pod tym względem stopniowanie, niepozwalające na drukowanie tytułu „Honourable” i niższych od niego odznaczeń.



Sądzę, iż skromność tę powinnyby naśladować i nasi warszawscy Anglicy, którzy niedługo każą sobie kłaść przy nazwisku takie nawet tytuły, jak „Członek zupy rumfordzkiej,” lub „Autor dramatyczny teatrzyków ogródkowych.”

A teraz, mając już paczkę biletów w ręku, zobaczmy jak należy oddawać wizyty.

Przybywszy na miejsce, dama, chcąc odwiedzić znajomą, winna posłać lokaja z zapytaniem, czy pani domu jest u siebie? Wrazie potwierdzającej odpowiedzi, wysiada z powozu i osobiście oddaje wizytę; wychodząc zaś, pozostawia na stole w przedpokoju dwie karty swego męża, jeżeli gospodyni jest mężatką; jedną kartę, jeżeli jest panną lub wdową.

Nie zastając pani domu, odwiedzająca pozostawia jedną swoją kartę i dwie lub jedną męża, stosownie do wyżej określonych okoliczności.

Wrazie gdy nie chcemy oddać osobiście wizyty, wręcza się tylko kartę służącemu z objaśnieniem: „Dla pani X.” albo „Dla hrabiny C.,” on zaś oddaje ją z temiż słowami w przedpokoju wzmiankowanej damy.

Zachodzi jednak wielka różnica między wręczeniem osobistym karty, a przysłaniem jej przez lokaja. Panie też odczuwają ją nader silnie i dlatego, pozostawiając kartę własnoręcznie, należy, na dowód bytności, zagać brzeg jej dość silnie.

Jeżeli na przykład dwie panie poznały się niedawno, jeżeli zostały sobie przedstawione na jakimś zebraniu, stosunki ich zaczynają się zwykle nie od wizyty, lecz od złożenia kart. Nie trzeba przytem nadmieniacz chyba, iż dama niższego stanowiska robi pierwszeństwo kobiecie wyżej postawionej, przy czem jednak pod żadnym pozorem nie powinna sama składać jej wizyty. Byłoby to brakiem godności, tak jak złożona karta jest tylko dowodem względów należnych.

Jednym słowem, odwiedza się zaufanych, życzliwych i przyjaciół; pozostawia się kartę bez przestąpienia progu ludziom mało znanym lub tym, których chcemy trzymać zdaleka.

Z ważniejszych punktów należy jeszcze zapamiętać:

- 1) Że karty zamienia się wprzeciągu tygodnia.
- 2) Że należy je składać po każdej zabawie i każdym zaproszeniu, choćby *nieprzyjętem*.
- 3) Że po większych zabawach karty powinny być składane nazajutrz.

Wrazie choroby zwyczaj wymaga, aby znajome panie pozostawiały osobiście swoją kartę i dwa bilety męża. Istnieją jednak przypadki, przy których karty mężczyzn bywają starannie wykluczane.

Dowiadujemy się dalej jeszcze, iż kobieta, która była na przyjęciu dawanem przez wdowca lub kawalera, posyła mu nazajutrz nie swoją, lecz męża swego kartę. Niewolno jest wreszcie pozostawiać kart wizytowych członkom rodziny panującej lub książętom krwi. Zastępuje się je wpisaniem nazwiska do księgi, utrzymywanej w tym celu wyłącznie.

Wrazie wreszcie braku własnych służących, przyjętem już dziś jest rozsyłanie kart przez zwykłego posłańca; niewolno tylko posyłać ich pocztą.

Czytając długi szereg praw tych i formułek, odczuwamy żal szczery za czasami pełnemi prostoty, w których gromadziła ludzi wzajemna sympatya, chęć wymiany myśli, lub wreszcie dobrze zrozumiana towarzyskość, ten probierz uobyczajenia i cywilizacji. Dziś ludzie zaczynają ucześnieć tylko na bale i przyjęcia. W zwykłych warunkach piękna

pani wynajmuje komisyонера i powierzwszy mu paczkę kart wizytowych, oraz spis znajomych, oddycha swobodnie. Wszak spełniła już nudny obowiązek, a że spełniła go w sposób „dystyngowany,” więc...

Więc i my wkrótce zaczniemy zapewne „dystyngowaną” Anglią naśladować.

(\*)

## Z DZIEDZINY NAUKI I WYNAŁAZKÓW.

Mierzenie prędkości okrętów. — Audytoryum w Chicago. — Ślepotą psychiczną.

Ktokolwiek czytał kiedy opis podróży morskiej, musiał się spotkać z wyrażeniem, że okręt płynął z prędkością tylu a tylu, na przykład 8 węzłów, i zapewne niejedna z czytelniczek gniewała się, nie wiedząc co to za prędkość. Może więc nie będzie od rzeczy objaśnić, co to jest węzeł i jak się mierzy prędkość płynącego okrętu.

Węzłem morskim nazywa się długość, wynosząca  $47\frac{1}{2}$  stóp angielskich, czyli  $\frac{1}{120}$  część mili morskiej, która zawiera 1852 metry i stanowi czwartą część mili geograficznej.

Gdy mówimy, że statek robi 10 węzłów, to znaczy że w każdej półminucie posuwa się on o 10 węzłów, a zatem w godzinie o 1200 węzłów, czyli o 10 mil morskich. W ogólności ile okręt robi węzłów w połowie minuty, tyleż mil morskich, albo, co wszystko jedno, cztery razy mniej geograficznych, przebywa w godzinie.

Przyrząd służący marynarzom do mierzenia prędkości płynącego okrętu nazywa się *loch* albo *lok*. Jest-to tabliczka drewniana, mająca postać trójkąta o trzech równych bokach, którego wysokość, czyli w tym razie odległość każdego z wierzchołków od środka boku przeciwległego, wynosi 20 centymetrów ( $8\frac{1}{3}$  cala). W podstawie swojej, t. j. na jednym z boków, loch ma przytwierdzony ołowiany ciężarek i dlatego rzucony na wodę pływa w niej w położeniu stojącym, czyli pionowo, a zanurza się do samego wierzchu. Od wszystkich trzech jego wierzchołków wychodzą sznurki, które w odległości 12 centymetrów od tabliczki łączą się ze sobą w jeden węzełek, a od tego węzełka rozpoczyna się sznur, długi na 230 do 250 metrów, na którym co  $47\frac{1}{2}$  stóp znajdują się węzły czerwonego koloru; sznur nawinięty jest na szpulkę, która może się szybko obracać około swojej osi.

Kiedy ma być mierzona prędkość okrętu, sternik, na dany znak, osadza szpulkę na tylnej burcie i rzuca w morze deseczkę lochu; wtedy sznur zaczyna się szybko rozwijać i wkrótce ukazuje się pierwszy węzeł, odznaczony grubą przepaską czerwoną, który oddalony jest od trójkąta o długość, równą długości okrętu. Od tej właśnie chwili mierzy się przebyta droga i w tejże chwili jeden z majtków przewraca klepsydrę, czyli zegar piaskowy, urządzony do mierzenia połówek minuty. Sternik liczy czerwone węzły na rozwijającym się sznurze, a ile ich zesunie się ze szpulki w ciągu półminuty, tyle okręt robi w ciągu jej węzłów, czyli tyle mil morskich przebywa w godzinie.

Opisana powyżej metoda mierzenia drogi i prędkości okrętu polega na tem przypuszczeniu, że loch,

rzucony w morze, pozostaje stale w tem miejscu, na które upadł. Przypuszczenie to wszakże nie jest słusznem, bo chociaż deseczka stojąca pionowo w wodzie opiera się istotnie pociągającej sile sznurka, zawsze jednak przy biegu okrętu nieco posuwa się za nim. Dla sprostowania powstającego ztąd błędu czerwone węzły na sznurze robią się nie co 47 i pół, ale co 45 stóp.

Ale i taka poprawka nie wystarcza, bo na otrzymany wypadek wpływają i przyczyny uboczne, mianowicie prądy morskie, których kierunek może się zgadzać z kierunkiem w którym okręt płynie, albo może być wprost mu przeciwny, i dlatego wypadki otrzymane zapomocą opisanego lochu są zawsze tylko przybliżone do prawdy. Daleko dokładniejsze daje nowy loch Michela, w którym prędkość okrętu wyznacza się zapomocą skazówki, poruszającej się przed tarczą (cyferblatem), połączoną z lochem zapomocą rurki kauczukowej.

Dla dokładnego wymierzenia prędkości statku wyznacza się na morzu zapomocą pływających beczek linia prosta, mająca kilkanaście kilometrów długości, i następnie z kilkunastu podróży odbytych przez całą długość tej linii oblicza się średni czas, w którym statek przebywa tę odległość; ztąd można już łatwo wyrachować, ile robi mil morskich na godzinę. W tym razie dowiadujemy się zwykle ile może ich zrobić przy największym wysiłku swojej maszyny.

Czasem podróże wzdłuż wyznaczonej linii przy średnim wysiłku maszyny odbywają się i przytem liczy się ilość obrotów śruby okrętowej, zkad można obrachować, o jaką długość posuwa się okręt przy jednym obrocie śruby. Potem podczas rzeczywistej podróży liczą przez oznaczony czas, na przykład przez pół minuty, ilość obrotów śruby, zkad można już łatwo znaleźć drogę przebytą w tym czasie, a zatem i prędkość okrętu w węzłach albo milach morskich.

Prędkość okrętu w podróży jest zawsze mniejszą od znalezionej na próbach; w Anglii przyjmują, że rzeczywista jest o  $\frac{1}{3}$  mniejszą od próbnej.

\* \* \*

Zbliżający się termin otwarcia wystawy powszechnej w Chicago zwraca coraz częściej uwagę na to olbrzymie miasto, którego przed półwiekiem jedynym mieszkańcem był szynkarz, zamieszkały w chacie, skleconej z desek w pobliżu fortu Dearborn, w której żołnierze garnizonu, popijając wódkę, bratali się z dzikimi sąsiedniego plemienia Indyan.

W jednym z numerów sierpniowych czasopisma „La Nature” znajduje się opis monumentalnego gmachu, niedawno zbudowanego w tem mieście i stanowiącego jedną z najciekawszych jego osobliwości.

Opis ten podajemy w streszczeniu.

Gmach ten, zwany „Audytoryum,” mieści w sobie ogromny hotel i zarazem jeden z największych na świecie teatrów. Łączy w sobie przepych, wygodę, bezpieczeństwo, potęgę efektów i wielką liczbę miejsc oddanych na usługi publiczności, a jednocześnie koszt jego wzniesienia był stosunkowo bardzo umiarkowany.

Budowa rozpoczęta w roku 1885 trwała 35 miesięcy i kosztowała, prócz ceny placu, tylko 15 milionów franków. Główna jego fasada od strony ulicy Kongresu ma 120 metrów długości; dwie boczne, wychodzące na dwie ulice prostopadłe do tamtej, po 60 metrów. Cały gmach składa się z 10 pięt, na które prowadzi 13 wind, rozmieszczonych w różnych jego częściach; nadto wznosi się nad nim wie-



za kwadratowa, mało co niższa od głównej budowli, a znacznie wyższa od dolnej platformy wieży Eifla. Nie wdając się w ocenę tego olbrzymiego gmachu pod względem estetycznym, musimy wszakże przyznać, że jego przystroj zewnątrz jest bardzo urozmaicony i bogaty.

Wieża ma przeznaczenie wielkiej wagi pod względem praktycznym; służy ona do zapewnienia bezpieczeństwa na wypadek ognia, a zarazem mieści w sobie cały mechanizm, obsługujący tak hotel, jako i teatr. Na wysokości 60 metrów znajduje się tu ogromny zbiornik, zasilany przez dwie pompy parowe, z których każda dostarcza mu przeszło 100 litrów (kwart) wody w jednej minucie. Ciśnienie nagromadzonej tu wody wprowadza w ruch całą maszynę sceny, wyłącznie żelazną, jak również i owe trzynaście wind, łączących wszystkie piętra z podziemiem. Długość rur, rozprowadzających wodę po rozmaitych częściach gmachu, wynosi blisko 40 kilometrów (około 37 wiorst), co pozwala wnioskować, jak łatwo zalać wodą jakąkolwiek część gmachu, zagrożoną przez ogień, jak więc zupełne jest bezpieczeństwo zgromadzonej w nim publiczności.

Ponad wieżę znajduje się jeszcze mniejsza wieżyczka, w której mieści się obserwatorium meteorologiczne, należące do znakomitej instytucji, znanej pod nazwą Signal Office. Spostrzeżenia przesyłane z tej stacji do Washingtonu należą do najdokładniejszych z pomiędzy tych wskazań, na podstawie których układają się tam przepowiednie pogody.

Do oświetlenia gmachu i sceny służy 10000 lampek elektrycznych żarowych, o sile 16 świec, każda zasilanych przez 10 machin dynamo-elektrycznych, które wprawiają się w ruch zapomocą 10 motorów parowych. Długość wszystkich drutów i lin elektrycznych, służących do rozprowadzania po całym gmachu światła i ciepła, oraz do wprawienia w działanie sygnałów, telegrafów i telefonów, wynosi 400 kilometrów.

Okien jest w gmachu 1500, drzwi 2000. Hotel posiada przeszło 400 pokoi; restauracja dla obcych gości znajduje się na parterze z wejściem z ulicy, sale zaś jadalne dla mieszkańców hotelu mieszczą się na 10 piętrze, gdzie jest także sklepiona sala tablotowa o 60 metrach długości i inna, tak zwana sala uczt, mogąca pomieścić 500 biesiadników.

W sali teatralnej na parterze, dwóch balkonach i galerii jest razem 3837 miejsc; oprócz tego znajduje się tylko 40 łóż, mających 200 miejsc. Łoże są przeznaczone dla możnowładców finansowych, którzy drogo muszą płacić za przyjemność wyosobnienia się z tłumu, a mała liczba łóż dowodzi, że teatr przeznaczony jest głównie na widowiska dla ludu. Scena jest bardzo obszerna; ma ona 33 metry wszerz i 27 włąb, a wysokość jej nad podłogą wynosi 29 metrów, podziemia zaś rozdzielone są na dwa piętra po 6 metrów.

Liny konopne o 27 milimetrach grubości używane są tylko do podtrzymywania kontrwag, ułatwiających ruchy kurtyny, która waży 16 tysięcy kilogramów; do wszystkich innych zastosowań służą giętkie liny druciane. Ogólna długość pierwszych wynosi 2, drugich 20 kilometrów.

Do najgłówniejszych części maszyneryi należy naprzód wążki most stalowy, zawieszony w poprzek sceny blisko kurtyny, który waży 3500 kilogramów, i rama żelazna, podtrzymująca tylną dekoracją, ważąca 6000 kilogramów i rozdzielona na dwie części, mogące się poruszać oddzielnie.

Nad tą ramą jest wielki most, mogący się przesunąć wzdłuż bocznych galerij sklepienia, a dalej horyzont panoramiczny, który ma 16 metrów wysokości a 100 długości.

Jest to ogromny pas płócienny nawinięty na bębnie, na którym znajduje się starannie zrobione malowidło, przedstawiające niebo w rozmaitych porach roku i dnia i w najrozmaitszych warunkach pogody.

Ciągar wszystkich części maszyneryi przenosi 100 tysięcy kilogramów, a jednak części te, dzięki sile hydraulicznej wody zbiornika, dają się poruszać z zadziwiającą łatwością; wystarcza do tego zakręcenie lub odkręcenie właściwych kranów. Tym sposobem przesuwają się ruchome mosty, jak również wznoszą nad poziom sceny lub zapadają pod nią części podłogi, przez co można wywoływać bardzo ciekawe efekty, kiedy na przykład idzie o naśladowanie łagodnego kołysania się fal w piękny dzień wiosny, lub gwałtownego ich rozchukania podczas straszliwej burzy w porze równonocy.

Elektryczność ma tu zastosowanie bardzo szerokie. Służy ona do efektów fantasmagoryjnych, do wprawiania w ruch siedmiu organów, ustawionych w różnych miejscach gmachu, ręką jednego i tego samego organisty.

Jednocześnie może on grać i na dwóch jeszcze karylonach (układach dzwonów), z których w jednym młotki uderzają w dzwony, a w drugim w sztaby żelazne. Jak cudowna wróżka, wywołuje elektryczność na scenie tego znakomitego teatru najniespodziewańsze zjawiska i złudzenia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## UZDROWIENIE.

PRZEZ

Florencją Maryat,

przekład z angielskiego

M. G.

Było to pod wieczór mglistego dnia w Lutym; zmierzch szybko zapadał w nędznie umeblowanym pokoju starego domu, w dzielnicy Soho w Londynie.

Latarnie już były pozapalane, a oblane deszczem szyby połyskiwały w świetle gazu i tylko kiedyniekiedy parasol przechodnia (chodnik przed domami jest bardzo wąski) tłumiał na chwilę tę jasność. Ale przechodnie w Soho nie byli liczni.

Dzień był dżdżysty i wietrzny i tylko ten wychodził na ulicę, kto musiał. Wszystko wyglądało smutno i ponuro, a pani tego domu, Małgorzata Hartley, siedząca przed kominkiem, z założonymi na kolanach rękoma, myślała wpatrzona smętnie w słabo tłący ogień. Koło niej stała maszyna do szycia. Całe popołudnie spędziła przy pracy, aż jej omdlały ręce i nogi, a głowa rozboleła od łoskotu, a teraz, przez oszczędność czy też dla przyjemności, wolała siedzieć pociemku, niż zapalać światło dla oświetlenia nędznych sprzętów, które ją otaczały. A miała nad czem rozmyślać ta kobieta, ach! i miała czego żałować, choć dopiero dwadzieścia pięć lat przeszło nad jej głową...

Gasnące iskry rzucały tyle światła, że można było widzieć młodość i wdzięk siedzącej przy ogniu postaci, a twarz dla tych, którzy stawiają wyraz wyżej od regularnych rysów, miała dużo powabu. Jednakże gdyby każda godzina bólu, którego los nie szczędził Małgorzacie Hartley, zostawiła była zmarszczkę na jej pięknem, gładkiem czole, byłoby ono do tej pory pobrużdżone, jak czoło starca. Bo ta kobieta dużo już przecierpiała. Patrząc tak w ogień, zwróciła się myślą o dziesięć lat wstecz, kiedy jako Małgorzata Lee, po śmierci ojca, biednego nauczyciela muzyki, dostała się do domu swego brata, urzędnika w bankierskim kantorze, ożenionego z kobietą niższego od siebie stanu, a dostała się poto, żeby się stać ofiarą i służącą bratowej i jej dzieci. Filip Lee był dużo starszy od siostry i świat uważał to za wielkie szczęście dla ubogiej sieroty, że taki dom ją przysparzył. Ale dusza jej upadała pod ciężarem codziennych przykrości i niemiłosiernego obejścia, zanim zaszła zmiana w jej nieszczęśliwym życiu, gdy na horyzoncie pojawił się Robert Nilson, marynarz, brat pani Filipowej Lee, i zakochał się, a przynajmniej mówił że się zakochał, w nieszczęsnej niewolnicy swojej siostry. Był on szorstki, brutalny, bez zasad, ale prześladowana siedemnastoletnia dziewczyna, wiecznie głodna od chwili gdy zaczęła mieć to życie zależne, nie wiedziała, że zaślubiając Roberta Nilsona, zamieni jedno jarzmo na drugie, nie lżejsze, i przyjęła jego oświadczenia z wdzięcznością. Uczucie to, jak wiadomo, bywa bardzo nietrwałe...

Bratowa była tak rozgniewana wyborem Roberta, że zerwała z nim po ślubie wszelkie stosunki, a nieszczęśliwa Małgorzata przekonała się wkrótce, że najcięższym na świecie jarzmem jest los żony poniewieranej i bez opieki.

Robert po ostygnięciu pierwszych zapałów okazał się sroższym panem, niżeli ci, którym przedtem służyła.

Miał on charakter siostry, ale był jeszcze brutalniejszy od niej.

Służył na małym statku krążącym koło brzegów i rzadko dłużej nad sześć tygodni lub dwa miesiące był w podróży. Żonę umieścił w małych, ciemnych pokojach na ulicy blisko doków położonej, a jedyne przyjemne jej chwile były w czasie nieobecności męża. Wymagający był, despotyczny i niesłuchanie zazdrosny, pozwołał za ledwie na stosunki z kobietami, obawiając się, żeby nie pociągnęły za sobą spotkań z płcią brzydką.

A jednak w owej nieszczęsnej epoce życia miała ona jednego przyjaciela, szczerego, wiernego przyjaciela, który w wycieczkach swoich do chorych i nieszczęśliwych, trafił przypadkiem pod dach tej zawiedzionej istoty i nauczył ją widzieć rękę Opatrzności nawet w tem, co było zniszczeniem jej ziemskiego szczęścia.

Ten przyjaciel i przewodnik był to ciężko pracujący londyński wikary, John Hartley, jej mąż obecnie, mąż tak gorąco kochany przez nią, a jednak nawet ta myśl, że jest dziś jego żoną, nie mogła natchnąć jej zadowoleniem z losu.

Więc zapomniała chyba o tym dniu straszliwym kiedy Robert Nelson dowiedział się poraż pierwszy, że wikary pracuje nad tem ażeby rozjaśnić jej niewykształcony umysł i wpoić weń wiekiuste prawdy, ażeby natchnąć pociechą zbolące jej serce, i wypędziwszy go z kłatwą ze swego domu, obsypał żonę czemś gorszym od kłatw, uważając to za należną jej karę.

Więc zapomniała o tem życiu nieustannej trwogi, które wiodła od owej godziny, i o słusznych powodach, które sprawiały, że drżała na widok męża?



Więc zapomniała i o tym dniu wyzwolenia, gdy po dłuższej niż zwykle nieobecności, zamiast człowieka, którego nauczyła się obawiać i nienawidzić, pojawił się pod jej dachem właściciel statku i z przedłużoną twarzą udzielił smutnej wieści, że „Marya-Joanna” w powrocie z Portugalii, rozbiła się przy afrykańskim brzegu i, o ile się zdaje, zatonała z ładunkiem i załogą?

A potem, gdy już wiadomość o śmierci męża potwierdziła się stanowczo i właściciele „Maryi-Joanny” pogodzili się z myślą o jej utracie, a Małgorzata po pierwszej chwili zadziwienia na wieść o odzyskanej wolności zaczęła wmawiać w siebie, iż Robert Nelson lepszym był niż jej się zdawało, że nie tak bardzo była szczęśliwa ze swego uwolnienia. — John Hartley przyszedł znowu do niej, przyszedł w tej właśnie chwili, gdy miała iść w służbę, i powiedział jej, że ją kocha i chce ją pojąć za żonę.

Czy podobna, żeby krótkie trzy lata wymazały, lub nawet zaćmiły wspomnienie takiej chwili szczęścia?

John Hartley! taki dobry i piękny! takiego szlachetnego obejścia, o tyle wyższy od niej urodzeniem i stanowiskiem, nieskalany jak ona ohydą takiego małżeństwa!

Czyż nie czuła się najszczęśliwszą z istot żyjących w owej chwili, gdy ją wprowadził w progi swego domu, do tego samego smutnego teraz pokoju?

A kiedy potem zasłabła i mąż wysłał ją na dwa tygodnie na wieś, samę (co przyszło mu z taką trudnością), z jakimże upragnieniem oczekiwała chwili powrotu do starego domu i do niego i powiedziała mu szczerze, gdy ją przyciskał do swego zacnego serca, że życie dla niej nie ma wartości, jeżeli ma pędzić je zdala od niego. I dziecię mają, maleńkie, własne dziecię! John, choć często znudzony a zapracowany zawsze, zachował tę samą miłość dla niej bez zmiany; miała od niego suknie wystarczające na jej skromne potrzeby, i dach nad głową i głodną nie była nigdy. A jednak Meg nie była szczęśliwa, nie była nawet zadowolona.

Nie zapomniała dawnych cierpień, zbyt ciężkie były, żeby się zapomnieć dały, przestała tylko wzdrygać się na wspomnienie przeszłości, ból uśmierzył się z upływem czasu, a ona, odrzucając nabok wspomnienia, udrećzała się cierpieniem obecnej chwili.

Gdy jej słodkie oczy wpatrywały się w migocący ogień, a westchnienie za westchnieniem wydobywało się z piersi, z pewnością najłżejsze nawet wspomnienie Roberta Nelsona lub przeszłości nie przyszło jej na myśl.

Marynarze, nagła śmierć i posępne doki, wszystko odległe było od jej myśli. Natomiast rozmyślała o Johnie Hartleyu, o wielu udrećzeniach wpływających z ubóstwa i o przykrości zamieszkiwania w dzielnicy tak nędznej, jak Soho. Jakie marne, jakie nudne, jakie jednostajne było jej życie, pędzone w tem okropnym otoczeniu! Wszystkie dni podobne były do siebie, a każdy z nich był przyniatającym ciężarem.

Myślała o swoich bawełnianych sukniach i o wytartym surducie męża, o tem że co rano, czy była pogoda, czy słońce, John Hartley szedł do pracy, do takich gniazd zarazy i brudów, że często po powrocie do domu nie zbliżał się do dziecka, obawiając się, czy w ubraniu nie przyniósł jakiej choroby.

I o tem, jak umysł jego był przynębiony i znudzony widokiem tylu występów, nędzy i nieszczęść, tak dalece, że czasem odsuwał od siebie skromny posiłek niemal ze wstrętem, mówiąc że nie może

przełknąć obiadu wtenczas, gdy tylu ludzi umiera z głodu bez nadziei ratunku!

A kiedyż się to skończy? Czy była jakakolwiek nadzieja, że mąż jej zdoła uwolnić się od tej ciężkiej pracy i niepokoju?

Czy skazani są na to, ażeby przeżyć całe życie w tem niezdrowym, przeludnionem mieście? Czy dziecko ich ma wyrosnąć takie blade i wątłe, jak te które widziała naokoło, blade i osłabione z braku świeżego wiejskiego powietrza?

Meg Hartley nie sądziła, ażeby los jej męża gorzszy był od jej własnego losu. Dnie ich upływały w równie ciężkiej pracy, tylko jego życie było mniej jednostajne.

Jedynym jej zajęciem było piastowanie dziecka, wynoszenie go na przechadzkę i pomaganie służącej do gotowania i utrzymywania porządku w domu i suszenie głowy od poniedziałku do soboty nad tem, w jaki sposób tygodniowy dochód ma wystarczyć na tygodniowe wydatki? Nie miała żadnych stosunków, bo do parafii w której mąż jej był jedynym z licznych wikaryuszów było daleko, londyńscy sąsiedzi nie troszczyli się o zawiązanie stosunków z żoną duchownego, która ubierała się w perkalowe suknie i sama nosiła dziecko po parku.

O rodzinie Johna Hartleya niewiele wiedziała. Miał on dużo krewnych, lecz byli to wszystko ludzie zamożni, mieszkający na wsi w Suffolku, a choć mawiał często, że gdy tylko będzie mógł, zabierze żonę i Daisy (małą córeczkę) i zawiezie je do matki swojej i do sióstr, czas ten nigdy jakoś nie nadchodził i, o ile się zdaje, nieprędko miał nadejść. Maszyna do szycia, ślubny dar matki męża, była jedynym widocznym węzłem, łączącym ją z rodziną Hartleyów.

Maszyna do szycia. Tak... rada jej była jako podarunkowi pożytecznemu i cennemu, lecz tak często zmuszona była siadywać przy niej w duszne dni, gdy łaknęła świeżego powietrza, i wdni ciemne i zimne, gdy nie miała dosyć opału, ażeby rozgrzać się przy pracy, że zniecierliła łoskot poruszającej się bezustanku igły i dotknięcie niezmordowanych pedałów.

Gdyby miała materiały warte pracy i zachodu, myślała niechętnie, byłoby to co innego, lecz tak jak teraz... i odkładała nabok zniszczoną, alpagową spódnice, niecierpliwie, jak gdyby sam widok jej przy tem słabem oświetleniu był jej wstrętny.

Lecz nie pamiętała prawie już, co to jest mieć ładną a przynajmniej przyzwoitą suknię, a dziecko nie było nigdy, jak ona nazywała „ubrane do ludzi.” Zapomniała już co to jest zajmująca książka, lub świeże kwiaty i owoce, i ciężko było, doprawdy bardzo ciężko, przepędzać tak życie bez żadnej przyjemności i dostatku.

A gdy myśl o tych nieuniknionych brakach przyniotła serce Małgorzaty Hartley, ły zaczęły zbierać się w jej oczach i spływać z wolna po policzkach.

Przeszłość tak dalece zatarła się w jej pamięci, że już nie umiała być wdzięczną za teraźniejszość i wspomnienie brutalnego obejścia i niemiłosiernych ciosów ustąpiło wobec przykrości jedzenia solonego masła i braku ładnych sukien. Było to bardzo nierozsądnie z jej strony, gorzej niż nierozsądnie, bo niewdzięcznie, a jednak było to rzeczą naturalną, choć ten fakt świadczy niepocholeśnie o ludzkiej naturze.

Jakże często wciągu krótkiego naszego życia widzimy olbrzymią falę nadpływającą ku nam z nieposkromioną siłą i grożącą nam zatopieniem naszej łodzi!

Z jakąż obawą śledzimy jej zbliżanie się oplakujemy stratę zawczasu i wzywając pomocy Wszechmocnego w tem niebezpieczeństwie, myślimy w głębi duszy, że nawet Jego pomoc nie będzie skuteczną, że nie zdołamy nigdy przeżyć tego ciosu.

Wkońcu fala nadpływa, zdaje nam się, że jesteśmy zgubieni bez ratunku, gdy wtem rozbija się o kilka stóp od naszej łodzi i przepływając spodem, zamiast górą, nadaje wążłemu statkowi rozpęd, który dozwala mu spłynąć ze spienionego grzbietu na spokojną wodę...

Przez kilka godzin nie możemy mówić bez łez o swoim wybawieniu, a przez kilka dni, lub kilka tygodni, każda wzmianka o niebezpieczeństwie tak cudownie minionem wywołuje w nas wybuch najgłębszej wdzięczności...

A potem co? Groźna fala znikła nam z oczu, zapomnieliśmy prawie że była tak blisko i zaczynamy uskarżać się na wiatr, który niedostatecznie sprzyja naszej podróży i który napędza nam do sieci zamiast ryb wodorosty.

Meg Hartley nie była ani lepszą, ani gorszą od ogółu ludzi. Niewielu jest takich, którzy umieją zrobić dobry użytek ze swego życia, którzy umieją wydobyć słodycz znajdującą się w każdej chwili, a odrzucić nieuniknioną gorycz. Potrzebowała nauki i sroga nauka zbliżała się do niej w mrokach wieczoru.

Spostrzegła że płacze; zbliżający się płacz dziecka i silne zastukanie do drzwi, zmusiły ją do poruszenia się i otarcia łez spływających po policzkach.

— Proszę pani — odezwał się szorstki głos jedynej służącej, niezgrabnej dziewczyny ze szkoły Narodowej, będącej pod opieką męża Małgorzaty Hartley — może pani zabawi trochę dziecko, a ja tymczasem przygotuję wszystko do herbaty zanim pan przyjdzie?

— Podaj mi dziecko — powiedziała pani Hartley, nie zmieniając położenia i wyciągając ręce.

Była dziś w takim usposobieniu, że nie mogła znaleźć przyjemności nawet z małą Daisy.

Wzięła dziecko niemal z niecierpliwością i posadziwszy je na kolanach, wpatrywała się tak samo w ogień, a myśli jej powróciły na te same drogi.

Dziewczyna ze szkoły Narodowej, wszedłszy i zeszedłszy ze schodów trzy lub cztery razy i w ciągu tych wędrowek dostawiwszy w całości na miejsce przeznaczenia przybory do herbaty i poustawiawszy na stole nieponęte wczorajsze pieczywo, kawałek solonego masła na talerzyku i płyn, od którego młeczarka ośmieliła się wziąć swoją nazwę, zapytała pani czy ma zapalić lampę, lub rozpalic ogień czy też zabrać dziecko?

Na wszystkie te pytania Meg Hartley odparła niecierpliwie i przecząco, kazała dziewczynie iść do kuchni i zaczekać tam dalszego rozkazu.

Wtedy drzwi od pokoju zamknęły się z hałasem i nogi w grubych trzewikach powlekły się do podziemnych krain, a niezadowolona kobieta pozostała sama z dzieckiem usypiającem na jej kolanach.

Jak długo siedziała tak, nie mogłaby powiedzieć, bo okoliczność która przerwała jej rozmyślenia była tak okropna, że zmąciła jej rachubę czasu. Może to było kilka minut, a może parę godzin, które przepędziła z Daisy śpiącą w jej objęciach, przed kominkiem; dopiero odgłos kroków męża w sieni przywołał ją do przytomności. Jego własne kroki, lecz zupełnie niepodobne do zwykłego chodu. Nie było śladu znudzenia ani ociężałości w jego stąpaniach, a mokre paltot musiał on rzucić na wieszadło, nie zatrzymując się ani na chwilę w wązkim



przejściu, z którego otworzył gwałtownie na rozcięcie drzwi do bawialnego pokoju.

Czuła że stał na progu, lecz nie odwróciła głowy; z twarzą opartą na dłoni, łokciem wspierając się na kolanie, nie zmieniła postawy w której ją zastał.

— Małgorzato!

Głos jego był tak ochrypliwy i cichy, ton mowy tak zupełnie różny od zwykłych pieśczętliwych akcentów, jakich używał do niej przy powitaniu, że zdumienie skłoniło ją do spojrzenia na niego.

Błada twarz z wyrazem bólu i troski, bledsza jeszcze wydawała się przy migotliwym ogniu, smutne, niespokojne oczy i drżące usta były to oczy i usta jej dobrego, pogodnego zawsze i wesołego męża?

— Johniel Johniel co się stało? Czy się zdarzyło jakie nieszczęście? Może jesteś chory?

Apatya i znudzenie opuściły ją od pierwszego wejrzenia na męża, zerwała się z krzesła i trzymając na jednej ręce dziecko, drugą objęła męża za szyję.

— Co się stało, mój najdroższy? Dlaczego drżysz i patrzysz na mnie tak surowo? Johnie, nigdy jeszcze nie widziałam cię takim!

— Bo nigdy jeszcze nie czułem tego, co dziś czuję, Małgorzato. Przynoszę ci złe wieści, moja ukochana, nowinę która rozdarła mi serce!

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Stał przed nią żywy i cały, Daisy spała u niej na ręku. Jakież to wielkie nieszczęście mogło grozić, jeżeli nie dotknęło jej jedynych skarbów?

— Złe nowiny, Johnie? Cóż to takiego? O! mów prędko!

Chciał jej odpowiedzieć, lecz zabrakło mu głosu. Tylko jakiś chrapliwy jęk dobył się ze zdławionego gardła. W tejże chwili usłyszała ociężałe kroki w korytarzu, jak gdyby ich poufna rozmowa miała jakiegoś świadka.

— Jest jeszcze ktoś w domu! — zawołała Meg. — O! Johniel nie trzymaj mnie dłużej w niepewności. Czy to... może... uwięzienie ci grozi?

Miała pod tym względem pewne doświadczenie z czasów, gdy jeszcze przebywała w domu obdłużonego brata, i obawa czegoś podobnego wpływała na jej ostrożność w wydatkach, lecz może mąż zaciągnął jakiś dług w tajemnicy przed nią?

— Niel niel — jęknął, zdobywszy się wkońcu na odpowiedź, — nie to! nie! Małgorzato... o wolałbym gdyby tak był! Przyjąłbym dożywotnie więzienie, byle się uwolnić od tego, co się dziś stało. Zaczekaj, moja najukochańsza, zaczekaj chwilę... lecz nie patrz na mnie tak, bo muszę zebrać całą moją odwagę... O, Małgorzato! bądź mężną, bo przynoszę ci wiadomość gorszą od samej śmierci...

Małgorzata była zanadto przerażona i wzruszona, ażeby mogła przemówić choć słowo. Patrzyła tylko na męża błagalnym wzrokiem i przycisnęła się silniej do ramienia, na którym się wspierała.

— Meg, byliśmy szczęśliwi, wszak prawda? Stałaś się ażebyś była szczęśliwa! Powiedz przynajmniej, że mi się udało...

Myśl o niezadowoleniu, jakiego doznawała przed chwilą, przebiegła jej przez głowę, a oczy zaćmiły się łzami żalu, jednak gdy odrzekła:

— Tak, mój najdroższy, tak, Bóg widzi że ci się udało!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## Z chwili bieżącej.

\* **Skasowanie studzien.** Kilka studzien wodociagowych, a mianowicie na Krakowskim-Przedmieściu naprzeciw figury Matki Boskiej, na Aleksandryi, na ulicach Twardej, Pańskiej, Karmelickiej i Bielańskiej mają być skasowane. Ma to być środek zmuszający właścicieli domów w tych okolicach do połączenia swoich posesyj z nowym wodociagiem. Nie chcemy wdawać się w ocenę zasadności i skuteczności tego środka; zdaje nam się jednak, że srożej niż właściciele dotknęli on lokatorów, którzy bez żadnej winy ze swojej strony ujrzą się nagle zupełnie pozbawionymi wody, bez której nietylko ryby, ale i ludzie żyć nie mogą. Będzie to coś w rodzaju owego sławnego wyroku, mocą którego powieszono kowala, chociaż ślusarz zawinił. Nie mamy pojęcia, co w takim razie poczyna lokatorowie; boć niepodobna przypuszczać, żeby wszyscy chcieli i mogli wyprowadzić się z domów, kłatwą wodociagową dotkniętych. Widzielibyśmy o jaki procent poskoczyłyby w górę mieszkania, wrazie takiej gromadnej rumacy, a nadwyżka ta znów dotknęłaby Bóg wie za co niewinnych lokatorów, którzy prócz tego musieliby ponosić koszta i przykrości przenosin w niezwykłym i niedogodnym czasie. Biedniejsi, którzy ledwie zdołali się wysypać z zapłatą komornego zakwaterowanie bieżące, chyba nie byłiby wstanie uiścić powtórnego w tymże samym kwartale komornego za nowe mieszkanie.

Powie kto może, iż poszkodowany lokator będzie miał regres do właściciela domu; zapewne, tylko że tutaj, do biedniejszych zwłaszcza, da się zastosować przysłowie, według którego, zanim słońce wejdzie, rosa oczy wyje, a zresztą ileż to z tego powodu powstałoby procesów! Dla ich załatwienia obecny personel sądowy musiałby być chyba podwojony.

Jeżeli więc aż taki środek przymusowy jest usprawiedliwiony, to czyż nie możnaby obmyśleć innego, któryby tylko winnych dotykał?...

\* **Szkoła bon.** Podobno jakieś dwie panie wystąpiły u nas z podaniem do odnośnej władzy o pozwolenie założenia „Szkoły bon,” z kursem dwuletnim. Kandydatki winny się wykazać świadectwami chyba patentami?... nauczycielek niższych. Czy to nie zawiele?... My od bony wymagamy praktycznej umiejętności obchodzenia się z dziećmi i prócz tego niekiedy jakiejś w domu posługi, a takiej praktyki szkoła dać nie może. A potem, czyż bonie przy takich wymaganiach i przy zwykłej normie przeciętnej jej wynagrodzenia u nas (100 rs. rocznie stanowi już bardzo dobrą pensją bony i nie często się praktykuje), opłaciłoby się łożyć czas i koszta na dwuletnią naukę; czy wreszcie dużo kandydatek do tego zawodu byłoby wstanie ponieść ten wydatek?...

\* **Znowu zwierzyniec!** *Le roi est mort, vive le roi!* Jeden zwierzyniec skonał na suchoty, więc mamy mieć drugi; tylko ten nowy, nauczony doświadczeniem swego poprzednika, który był zanadto wspaniały (?!) zamierza urządzić się na mniejszą, skromniejszą skalę, a w dodatku, nie chcąc skończyć tak jak tamten, zakłada przy sobie instytucję „pomocniczą” w postaci mleczarni, zapewne dlatego, że mleko bardzo zbawiennie działa w chorobach piersiowych.

Nieboszczykowi Zwierzyncowi, o ile nam wiadomo, daleko jeszcze było do najskromniejszych tego rodzaju zakładów po miastach dużo mniejszych od Warszawy za granicą, czemuż więc będzie ten, na mniejszą od niego skalę?

A ta „mleczarnia pomocnicza,” czy to nie ciekawy wynalazek? Nam się zdaje, że chyba rzeczy mają się odwrotnie i że *zwierzyniec* ma być dla *mleczarni* tą zbawczą instytucją, mającą amatorów mleka przynęcać.

Ponieważ jednak nie idzie za tem, że ktoś lubi mleko żeby miał lubić koniecznie i zwierzęta; ponieważ woń jaką wydają zwierzęta nie jest wstanie dodać apetytu zjadaczom i spijaczom mleka, przeto temu oryginalnemu stadłu, jak każdej niedo-

branej parze, nie rokujemy wcale miodowych mięsięcy.

\* **Jatka końska.** Słychać znów, nie po raz pierwszy, o zamiarze otwarcia jatki z mięsem końskim przez jakiegoś mahometanina, który poczynił miał odpowiednie kroki w celu otrzymania pozwolenia.

U nas dawniej źrebiec pieczony zwał się „pieczeńią hetmańską.” Był to zdaje się zwyczaj przyjęty od Tatarów, wskutek częstych z nimi nieprzyjacielskich i przyjacielskich styczności. Ale i wtedy już szlachta jadła wprawdzie koninę, bo nie jeść nie wypadało, ale krzywiła nosami.

Później zwyczaj ten zwietrzał i pozostało uprzedzenie i wstręt do mięsa końskiego, wstręt, który wśród naszej ludności mocniej może niż gdziekolwiek indziej jest zakorzeniony i który obejmuje wszystkie niezwykle artykuły pożywienia.

Wątpimy zato, czy u nas znajdzie pokóp towar, którego konsumpcya, nawet po największych miastach europejskich, nader powoli się przyswaja.

\* **Świder Edisona.** Edison wyraźnie ujarzmił elektryczność i robi z nią, co mu się podoba, a ona spełnia każdą jego wolę, niby posłuszna niewolnica. Każdy dzień niemal przynosi nowy wynalazek na tem polu, a jednym z ostatnich jest „świder elektryczny.” Świder ten wprzeciągu godziny wywierca otwór trzycalowy w granicie, co, zważywszy twardość kamienia, jest ogromnie wiele. Cuda opowiadają o tem narzędziu, które ma być powołane do sprawienia zupełnego przewrotu, mianowicie w górnictwie.

G. Cz.

### ROZWIĄZANIE LOGOGRYFU.

1. Mak. 2. Azow. 3. Rodzynki. 4. Jokohama. 5. Agat. 6. Rywal. 7. Orinoko. 8. Dramat. 9. Złoto. 10. Iris. 11. Écu. 12. Witold. 13. Indy. 14. Czesław. 15. Zola. 16. Ój. 17. Wint. 18. Nangasaki. 19. Achilles.

Marya Rodziewiczówna  
Kwiat Lotosu, Dewajtis.

Zbiorowe wydawnictwo powieści obyczajowych i humorystycznych

Alberta Wilczyńskiego,

autora

„Kłopotów Starego Komendanta,”

tomów 20, które z przesyłką pocztową kosztowały rs. 14, dla prenumeratorów „Tygodnika mód i powieści” **zniżamy na rs. 9.**

## PRZYJACIEL DZIECI,

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W Warszawie	Na Prowincyi
Rocznie . . . . . rs. 4.	Rocznie . . . . . rs. 5 k. —.
Półrocznie . . . . . rs. 2.	Półrocznie . . . . . rs. 2 k. 50.
Kwartalnie . . . . . rs. 1.	Kwartalnie . . . . . rs. 1 k. 25.

Adres: Redakcyi ulica Chmielna № 26.

Numer 42 wyszedł z druku i zawiera:

Z dziedziny trzeciego królestwa. — Żart za żart (komedyjka w jednym akcie. — W niewoli u Arabów (powieść, z drzeworytami). — Nad Motławą (z drzeworytem). — Wyrwałość a praca (powieść). — W dodatku: Łasica i wiewiórka (z drzeworytem). — Jesienią (wiersz). — Na wsi, przez Ludwika Niemajowskiego. — Najcudowniejsza kropla rosy. — Łamigłówni.

Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.



**CENY NIZKIE.**

Oliwa Nicejska.  
Ocet winny.  
Essencya Octowa.  
Szafran i Wanilla.  
Perfumy.  
Woda Kolońska.  
Mydło krajowe i zagraniczne.  
Gąbki i Wyroby gumowe.  
Środki opatrunkowe.  
Skład mat. aptecznych  
Trzciniński, Urbanowicz i Różycki,  
Kraków.-Przed. 17  
wprost kościoła po-Karmelickiego,  
w WARSZAWIE.

# Warszawska Sala Licytacyjna

## Królewska Nr 16.

Posiada do sprzedania Wazony francuzkie o 170 do 1000 rs. za parę. Wazony chińskie 200 rs. Wazony Stary Berlin 150 rs. Talerze, półmiski, filiżanki saskie, wiedeńskie, berlińskie i baranowskie, figurki porcelanowe saskie i francuzkie. Stare szkło rzeźbione. Bronzy roboty Mena, kandelabry, psjaki, lampy naftowe i gazowe. Obrazy, sztychy, aquarelle. Maszyny do szycia i pończosznice. Meble nowe i używane. Podejmuje się urządzeń całkowitych lokali lub oddzielnych pokoi, poczynając od najskromniejszych, do najwykwintniejszych. Prowadzi zakład stolarsko-tapicerski i przyjmuje zamówienia na nowe meble, przerabia użyte, zamienia stare na nowe. Sala kontentując się małym procentem, jest w możności sprzedawać po cenach znacznie niższych od wszędzie praktykowanych, gwarantując za dobrą robotę i dokładne wykończenie. Przyjmuje na sprzedaż wszelkiego rodzaju przedmioty. Sprzedaż codziennie od 9 rano do 8 wieczór, z wyjątkiem Niedzieli i Świąt. Licytacje w Piątki i Soboty w specjalnie na ten cel urządzonej sali. Bezpieczeństwo osób interesowanych zagwarantowane kaucją złożoną w kasie Gubernialnej.

## SKŁAD FUTER KAROLA ROTHER

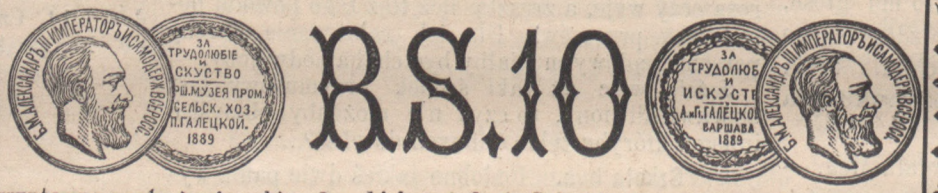
(dawniej Radau).

W dniu 9 b. m. przeniesionym został z ulicy **Bieląskiej Nr 5 na tą ulicę pod Nr 1 róg Senatorskiej** vis à vis w-go Bruna. Magazyn został znacznie powiększony i zaopatrzone w bogaty wybór wszelkich futer. Przyjmuje również wszelkie zamówienia. **Ceny przystępne.**

Ważne dla osób, pragnących zapewnić sobie byt niezależny.

## Specjalne Szkoły krojów, szycia i wykończania sukien i okryć damskich ANIELI GAŁECKIEJ

z córką Pelagią w Warszawie, od Krakowskiego-Przedmieścia ulica Po-dwal Nr 10; 2-ga Marszałkowska Nr 94, z pensjonatem, w którym wykładane są nauki metodą A. Gałeckiej — sposobem francuzkim, przy pomocy tylko samego centimetru, za co też w konkursie krojów na Wystawie Pracy kobiet w Warszawie jedynie tylko Aniela Gałeczka z córką Pelagią zostały nagrodzone wyższem uznaniem, t. j. medalami za najlepszy krój metodą własną, nadzwyczaj uławną i zrozumiałą, za najlepsze i gustowne wykonanie sukien i okryć z materiałów, przez uczennice w ich szkołach.



gruntowna nauka kroju sukien damskich metodą A. Gałeckiej, która od razu daje zapewnienie niezależnego bytu, dlatego też uczennice z ich szkół, poszukiwane są na Dyrektryso do Magazynów i do Szkół na nauczycielki krojów. Lekcyce wykładane są pod osobistym kierunkiem A. Gałeckiej lub jej córki, bez wszelkich gmatwanin, linijek krojowych, 38 miereków i t. p. zbyt drobiazgowych, zupełnie nie potrzebnych obliczeń, które tylko naukę kroju wiktają, utrudniają i dla wielu osób zupełnie niezrozumiałą czynią.

**NOWO-OTWORZONY MAGAZYN TOWARÓW BŁAWATNYCH „KONKURENCYA“** pod zarz. B. SZYSZKA ulica **Ś-to Krzyżka Nr 4 róg Nowego-Swiatu.** Poleca wielki wybór Welny na suknie i na pokrycie futer, plusze, aksamity, atlasy, barchany różnych kolorów, chustki i pledy, kołdry, firanki, sukienki, halki i szlafroczyki gotowe po cenach niskich. Przyjmuje się obstalunki na suknie i okrycia.

## MAGAZYN KONFEKCYI M. MARCINEK,

11. NIECAŁA 11.

Po powrocie właściciela z zagranicy zaopatrzone został w wybór modeli najnowszych na sezon jesienny i zimowy. **CENY UMIARKOWANE.**

**Nowy-Świat 23.**  
PRALNIA CHEMICZNA  
Emilji Sponar.

**M<sup>LE</sup> LEONA.**  
Niecala Nr 4, I piętro.  
Po powrocie z Paryża poleca sezonowe  
Kapelusze.

Hafty Podolskie są do sprzedania wyszywane złotem, srebrnym, kolorami i płótna białe na suknie w dwóch gatunkach.  
Książęca 4, m., 10, w Warszawie.

**WARSZAWA NOWY-SWIAT 4**  
Rs. 10.  
Gruntowna nauka kroju szycia i upinania w szkole Rękodziel Pauliny Stokowskiej. Krój Vorth'a wykładany przez osobę świeżo z Paryża przybyłą, mającą własnoręczne świadectwa entreprenera sławnego Feliksa Amelij Vorth'a. Przytem są wykładane inne rzemiosła.

**Szkola praktycznych rzemiosł DLA KOBIET**  
M. DROZDOWSKIEJ  
przeniesioną została na Nowy-Świat Nr 16, m. 36, w Warszawie.

**Pracownia SUKIEN, GORSETÓW, OKRYĆ, I KAPELUSZY**  
LUBICZ ZALESKIEJ.  
Przyjmuje uczennice.  
Marszałkowska 90, m. 15.

**MAGAZYN MÓD**  
FABRYKA KWIATÓW  
wielki wybór kapeluszy damskich podług modeli paryskich poleca  
WANDA SIWIŃSKA  
Krakowskie-Przedmieście 61  
wprost Resursy Obywatelskiej.

**D-r Med. ADOLF KOZERSKI.**  
odłwyszy praktykę szpitalną jako hospitant kliniki profesora Kaposi'ego w Wiedniu, udziela porady lekarskiej w chorobach skórnych i w... Od 1-2 przyjmuje wyłącznie kobiety.  
**Nr 3. PROŻNA Nr 3.**

**NOWO-OTWORZONA**  
Pracownia Sukien i Okryć Damskich  
**WANDY**  
Bracka 17, w Warszawie.  
Przyjmuje suknie nowe, wizytowe, kostiumy, okrycia, sortle de bal, wykończając takowe jak najakuratniej, podług najnowszych żurnali. Ceny przystępne.

**ZAKŁAD POZYTECZNYCH ZAJĘĆ DLA DZIECI**  
Julii Gnszlichtówny.  
Tłomackie 13.  
Przyjmuje zapis dzieci od lat 4-cho do 7-miu.

Pracownia sukien i okryć damskich  
1492-10 **NATALJI W.**  
Nowy-Świat Nr 40, I piętro od frontu.  
Przyjmuje suknie okrycia i wierzchy do futer podług najnowszych modeli, po cenach przystępnych.

**L. MERGENTHALER I SYN**  
ZAKŁAD tapicersko-meblowy  
6 KRÓLEWSKA 6,  
W WARSZAWIE.

PRACOWNIA 109 5-6  
SUKIEN I OKRYĆ DAMSKICH  
Czesławy Chełmickiej,  
Marszałkowska Nr 135, mieszk. 11.  
Przyjmuje wszelkie obstalunki na sezon bieżący, które wykonywa podług ostatnich żurnali po cenach bardzo umiarkowanych.

**CENY NIZKIE.**  
EDWARD DUSOGE  
Nowy-Świat Nr 5.  
Poleca się Szanownej Publiczności z następującymi artykułami potrzeb domowych: Łóżka żelazne. Umywalnie. Naczynia kuchenne, Kuchenki naftowe i benzynowe. Maszyny do kawy w 6-u różnych gatunkach. Młynki i Piecyki do kawy. Żelazka stalowe i mosiężne. Wauny, Kubły, oraz Wyroby nożownicze fabryki Gerlachy.  
**CENY NIZKIE.**

**NA SEZON JESIENNY I ZIMOWY:**  
W wielkim wyborze Okrycia: z kortów, plaidów, szewiotów, kastorów, aksamitów, pluszy jedwabnych i angielskich, baranków, celesthn, syberyn miękkich i ciepłych. Wierzchy do futer, polonezy, rotundy, żakiety na futrach. Fasony najświeższe podług modeli z pierwszorzędných domów zagranicznych. Mufki, kołnierze, czapeczki, boa futrzane. z piór, fantazyjne. Chustki, pledy, szale sznelowe. Wielki wybór materiałów okryciowych poleca Specjalny Magazyn Okryć Damskich **A. ŁOJEWSKIEJ, Bracka Nr 10.**

**S. PRZEZDZIĘCKI.**  
Magazyn ubiorów DLA DZIECI, mundury i szynele DLA UCZNIÓW.  
Kotzebue Nr 2, róg Wierzbowej.

**FABRYKA KWIATÓW**  
A. Rastawieckiej,  
Bieląńska 8,

ZAKŁAD ANTYKWARYJNO GALANTERYJNY  
**K. KONDRATOWICZ i S-ka**  
w Warszawie, Nowy-Świat 33.  
Przyjmuje wszelką reperacyę przedmiotów starożytnych i nowych.

W zakładzie pożytecznych zajęć i zabaw gimnastycznych dla dzieci, **MARSZAŁKOWSKA Nr 119, zapisy przyjmują się codziennie od 10-jej do 6-jej.**



Opis do N-ru 41.

(Dokończenie).

N. 17—18. Koszyczek do owoców i t. p. Deseń patrz f. 93.

Rozszerzony trochę ku górze ma formę kwadratową i liczy 16—23 c. szerokości, ścianki boczne są 10 c. wysokie a na 3 c. szeroko ażurowo plecione. Serwetka włożona wewnątrz dopasowana jest zupełnie do formy koszyczka, w tym celu kwadrat moonego białego płótna tej co dno miary łączy się szwem z oddzielnymi kawałkami przykrojonemi podług boków i zeszywanemi na rogach. Rycina 18 daje w naturalnej wielkości część szlaku haftowanego bardzo pospiesznie a efektownie, do którego narożnik daje f. 93. Wyszoicie dane ścięciem luźnym, supelkami i dzierganiem, filozelą dzieloną po dwie nitki, koloru cielistego i niebieskiego dobrego do prania.

N. 19. Fartuszek dla dziewczynki lat 5—7. Krój N. XVI.

Przez rozsuwanie zmarszczenia na tasiecmce jest praktyczny bo łatwy do prania; model był z granatowego płótna wyszty ponsową bawełną, można tu zastosować szlak r. 18, albo wyszyć ścięciem krzyżkowym. Fig. 84 daje formę faldzistego plastronu, którego tylna połowa jest mniej zmarszczona i kraje się w dwóch częściach, przód zaś w jednym kawałku. Dolna część fartuszka wymaga prostego bryta 115 c. szerokiego, 42 długiego, podszytego listewką 2 c. szeroką do przewleczenia tasiecmeczek. Wykrój szyi również przewleka się tasiecmką; f. 85 daje fartuszek związany.

N. 20. Fartuszek z karczkiem, dla dziewczynki lat 3—4. Krój N. XV.

Drelich w paseczki stanowi najmocniejszy materiał na fartuszek dla dzieci, ale fason jaki daje r. 20 i połączenie materiału gładkiego z deseniowym daje się zastosować do różnych materiałów; dla większego przyozdobienia można dodać koronkę klockową; szydełkową lub hafcik. Model był z drelichu w paski ponsowe z karczkiem i pliszką 4 1/2 c. szeroką z gładkiego ponsowego materiału. Fig. 84 daje formę karczka zapinanego na ramionach, w który wszywa się fartuszek f. 83, od gwiazdki do dwukropka przymarszczony na 15 c. Linia cienka oznacza przemarszczenie w pasie i przyszycie końców do wiązania, 40 c. długich 4 szerokich. Wykrój szyi i pachy można ostępnować pliseczką i ząbkami podług r. 16.

N. 21. Fartuszek bluzkowy dla dziecka lat 2—3.

Zastępujący dookoła sukienkę składa się z przodu i pleców, 46 c. długich 150 c. u dołu szerokich, u góry zmarszczonych i wszytych w listewkę 19 c. długą 1 c. szeroką. Wyczoicie stanu nadaje czterokrotne przemarszczenie, końce do wiązania 5 c. szerokie po 40 długie przytrzymują plecy wcale nie zeszyte. Wykrój pachy otoczony pliszką 1 c. szeroką, 35 c. długą i ząbkami haftowanymi, danymi także przy wykroju szyi. Kokardy z wstążki kolorowej 3 c. szerokiej.

N. 22. Fartuszek dla chłopca lat 3—4. Krój N. VI.

Fig. 45 daje formę fartuszka w naturalnej wielkości, od gwiazdki do dwukropka przyszywa się dwa końce po 50 c. długie po 5 szerokie, które skrzyżowane na plecach przypinają się na guziki do tylnych brzegów fartuszka, które połączone są na środku patką wykrojoną podług fig. 46, również guzikami przypiętą. Model z granatowego płótna przybrany był 4 1/2 i 1 c. szeroką pliszką z perkału w paski białe i niebieskie. Szelki i patkę lepiej dać z podwójnego materiału.

N. 23. Fartuszek bluzkowy dla dziewczynki lat 4—6. Krój N. XVII.

Dający się rozsunąć gładko do prania, uszty z kolorowego kretonu podług f. 86; cienkie linie na przodzie a oznaczają podszycie listewek 4 c. szerokich przestębnowanych w górze cztery, w pasie trzy razy do przewleczenia tasiecmeczek do ściągania. Plecy b zfałdowane są podług znaków; wykrój szyi i pachy zakończony hafcikiem lub koroneczką.

N. 24 i 28. Kapotka dla dziewczynki. Krój N. XIX.

Płaskie rondko dane do twarzy dopasowuje się podług a na f. 88 ze sztywnego tiulu i pokrywa haftem;

N. 25. Kapotka dla dziecka. Krój N. XX.

Mięka wełna lub materya użyta na taką kapotkę może być na porę zimową podłożoną flinellką; f. 89 daje wymiar denka i rondka; litera a oznacza denko krajane z podwójnego materiału, na którym jako podstawę pod wysoko stojącą część b przyszywa się od gwiazdki do gwiazdki lekko naddany kawałek 6 c. szeroki, 40 c. długi. Część b od gwiazdki do gwiazdki przymarszcza się na sznureczek, dając nagłówek 2 c. szeroki i przyszywa do denka od 1 do 23 zmarszczoną dalej gładką. Brzeg przedni układa się w kontra faldy podług znaczków, dolny brzeg denka zbiera w dwie głębokie faldy. Rondko stanowi oddzielny kawałek 64 c. długi 16 c. szeroki przymarszczony na sznureczek 64 c. długi 16 c. szeroki podstawy c; dolny brzeg wszyty w pasek 1 c. szeroki 25 długi. Litera d daje formę pod wolant, przymarszczony podobnie jak poprzednie części z prostego kawałka z przodu 17, z tyłu 14 c. szerokiego, 100 c. długiego. Na przyszyciu dana riusza z materiału, 5 c. szeroka wycięta w ząbki lub siepana z brzegów. Brzegi kaputki podszyte ząbkami dzierganemi kolorowo; końce do wiązania po 44 c. długi 6 c. szerokie.

N. 26. Puszka drowniana z deseniem wypalonym.

odpowiednia do przechowania herbaty, wyrobiona z białego klonowego drzewa na wzór puszek japońskich ma zwierzech okrągły otwór, zamknięty szczelnie przystającą przykrywką; obwód zewnętrzny wynosi 54 c. Tło malowane kolorowo, wypalane w deseń.

N. 29. Krzesło ozdobione malowaniem na skórze Deseń fig. 50.

Z ciemno brązowej bambusowej trzciny z okuciem niklowym, ma siedzenie płaskie pokryte gładką skórą naturalnego koloru, przybitą złotem gwóźdźkami. Do poręczy tylnej przysznurowany jest kwadrat ze skóry bez żadnego wysłania, ozdobiony malowaniem podług figury 50.

N. 33 i 39. Suknia przewlekana wstążką. Krój N. IX.

Zamiast przemarszczenia już opatrzonego przy sukni przedstawionej z przodu na r. 39 z tyłu na r. 33 zastosowany jest zupełnie nowy sposób, w którym przez wbijane metalowe kółeczka przewleka się aksamitka lub wstążka 2 c. szeroka. Suknia z granatowego szewiotu ma karczek, rękawy i obłożenie 12 c. szerokie z aksamitu w drobny, stanik wymagający dopasowanej podszewki na której daje się wierzch wymierzony podług f. 49. Górny brzeg przodów i pleców ma białe kółeczka do przewleczenia, karczek aksamitny przyszyty gładko do podszewki faldy przy dolnym brzegu stanika składają się podług znaczków na f. 49. Spódnica podszewkowa wszyta w pasek zapina się pod stanikiem, zaś zwierzechnia 270 c. szeroka przewleczona aksamitką, luźno zachodzi na stanik. Górny brzeg zupełnie prosty podłożony pod spód, ma w odstępnie 2 c. od



N. 1. Suknia z odmiennym stanikiem. Patrz ryciny 8—10.

N. 2. Suknia z bluzką i szeroką szycią.

można tu zastosować haft maszynowy, szlak kupiony na łokcie, lub wyszoicie ręczne podług r. 28 filozelą kolorową. Główna wykrojona podług b, na środku ściśle, z boków bardzo mało namarszczona, przyszywa się od gwiazdki do dwukropka do rondka. Tylny brzeg u dołu ściągnięty na elastykę. Końce do wiązania z repsowej wstążki, podszewka z miękiej materyi lub fularu.

góry białe kółeczka; jak to widać na rycinach faldy z przodu i z boków są mało nasunięte z tyłu zaś ściśle zsunięte i znacznie głębsze. Sute rozety przy staniku, a na sukni długa kokarda.

N. 35. Sukienka z paskiem bawetowym dla dziewczynki lat 3—5. Krój N. V. Efektownie ozdabia sukienkę z cienkiej ponsowej flak-



